

MŁODE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK WYDAWANY STARANIEM OGNISKA KRAK.
POLSKIEJ YMCA (ZWIĄZKU MŁODZIEŻY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ)

REDAKCJA: KRAKÓW, KROWODERSKA 8. — TELEFON NR 124-36.

REDAGUJE: KOMITET REDAKCYJNY.

CZŁONKOWIE KOMITETU: Prof. dr Dyboski Roman, Eliasiewicz Witold,
Maławski Tadeusz, Mgr. Szymański Juliusz, Węglorz Józef, Zawadzki Aleksander.

Za redakcją odpowiedzialny dr Krzetuski Karol.

Warunki prenumeraty: $\frac{1}{4}$ rocznie 1— zł, $\frac{1}{2}$ rocznie 2— zł, rocznie 3 zł 50 gr.

Pojedynczy numer 35 groszy.

Inseraty: $\frac{1}{2}$ strony 25— zł, cała stronica 40— zł.

Wpłaty przyjmuje i kwituje Sekretariat Polskiej YMCA Kraków, Krowoderska 8

Treść numeru: * Kraków na przełomie. — *Jaklitsch Andrzej*: Przyszłość wyśniona. — *Sierosławski Tadeusz*: Jak to było miło ponad Krakowem w czasie burzy? — *Jaklitsch Andrzej*: Z klubu dyskusyjnego. — *Węglorz Emil*: Ymca w Finlandii. — *Stawowski Józef*: Zyciorys chłopca opuszczonego. — *O. L.*: Kronika polityczna. — *Krzetuśka Maria*: Leśmian - poeta prawdziwy. — *Leśmian Bolesław*: Poranek. — *Krzetuski Karol*: Kultura a gospodarstwo.

KRAKÓW NA PRZEŁOMIE.

(Maria Estreicherówna, Życie towarzyskie i obyczajowe Krakowa w latach 1848—1863, Biblioteka Krakowska N. 90, 1936).

Na Kongresie Wiedeńskim w r. 1815 poradzono sobie dość szybko z granicami trzech zaborów. Na Kraków miał jednak apetyt nie tylko nowy król polski, ale także zachłanny jak zawsze prusak i jego czarno-żółty antagonistą. Nie mogąc dogodzić wszystkim, utworzono małą, formalnie niezależną Rzeczpospolitą, Wolne Miasto Kraków z kilku sąsiednimi powiatami. Pod koniec piętego dziesiątka lat wieku zeszłego, kiedy wszędzie a najsilniej w Metternichowskiej Austrii bunt przeciw reakcji srożył się w najlepsze, sprawcy rozbioru Polski przyszli do przekonania, że bezpieczniej będzie pieczę nad Krakowem oddać w ręce jednego tylko żandarma, wobec czego Wolne Miasto Kraków wcielono do Austrii. Głęboki wstrząs, towarzyszący temu aktowi samowoli, i następny okres do chwili powstania styczniowego, przedstawiony jest w dwóch tomikach p. Estreicherówny, pochodzącej ze znanej rodziny profesorskiej dziś już w czwartym pokoleniu związanej z historią nauki polskiej i jej najstarszą warownią, Uniwersytetem Jagiellońskim.

Zmiany, sprowadzone przez okupację austriacką, były z natury rzeczy znaczne. Władzę nad okręgiem przejęła Rada Administracyjna, złożona z dawnych senatorów i urzędników senatu, zarząd miasta pochodząca z nominacji Rada Miejska. Obie rady rozwiązane już w r. 1853. Sądownictwo uległo powolnej reorganizacji, przy wprowadzeniu języka niemieckiego jako urzędowego. W miejsce kodeksu francuskiego wszedł kodeks cywilny, który jeszcze dziś normuje życie w byłym zaborze austriackim, z wyjątkiem niewielkich wycinków, objętych niedawno przez nowe prawo polskie. Gospodarczo ucierpiał miasto z powodu włączenia go do obszaru celnego monarchji i co za tym idzie, odcięcia go od dotychczasowych rynków zaopatrzenia i zbytu. Wszystkie te zmiany przeobrażyły z wolna fizjonomję miasta. „Stracili swoją preponderancję możnowładcy i patrycjat“. Klasy naprawdę mieszczańskie zabrakło. Dawny bowiem patrycjat przeważnie zespolił się z klasą ziemiańską. Za to epoka, o której pisze nam autorka, rodzi nową klasę inteligencji, stojącą pomiędzy mieszczaństwem, odradzającym się powoli, i ziemiaństwem. Znika fala emigracji wszechpolskiej do Wolizny (Krakowa). Była w trzydziściocleciu po Kongresie Wiedeńskim elementem ruchu i barwy w mieście o zwykle kamiennej masce, pod którą zresztą kryje się zawsze i od wieków potencja silnego odruchu na każde uderzenie w polskość. Dziwnie przetrzymuje też ten okres najcięższych przejść Uniwersytet Jagielloński, z stale rosnącą liczbą słuchaczy i ciałem nauczycielskim, w którym zabłysnęły gwiazdy jak Dunajewski i Dietel, późniejszy prezydent miasta i poseł sejmowy. Powstaje Towarzystwo Naukowe, protoplasta Akademji Umiejętności i do dziś czynne Towarzystwo Przyjaciół Sztuki. Kraków jest wówczas, jak mówi Pol, arbiter litterarum. Na horyzoncie sztuki wschodzą gwiazdy Matejki, Grottgera, Kossaka Juliusza. Życie towarzyskie rozwija się na nowo, ale Kraków jest znacznie poważniejszy, niż za czasów wolności. Kraków nawiązuje też powoli stosunki z nową piastunką w czarno-żółtej sukience. Flirt za daleko zaawansowany, jednakże, jak dowiódł rok 1918, nie głęboki, bezsprzecznie często kompromitujący. Mówiąc o polityce nie możemy milczeniem pominąć roli, którą w wzmaganiu się prądów zachowawczych odgrywał Kraków, kolebka stronnictwa Stańczyków i jego organu Czasu, wychodzącego od roku 1848. „Może jest czasem suchy i nudny“, mówi o nim autorka, „ale pod względem kulturalnym stanowi olbrzymi postęp od publicystyki poprzedniego okresu“.

W miarę przytłumienia nuty politycznej przez władze austriackie i konserwatyzm, uprawiający system giętkiego wymijania, silniej, może w Polsce porozbiorowej najsilniej, rozbrzmiewa dominant kultury. Za Polsem powtarza Estreicherówna „Poznańskie filozofuje na miarę niemiecką, Żytomierz pisze na łokieć francuski, Warszawa drukuje jak w Lipsku, ale Kraków daje ostatecznie pieczęć rzeczy, która zostaje w nauce czy literaturze“.

Dla teatru polskiego nastały ciężkie czasy po opuszczeniu Krakowa przez wojska rosyjskie, które miały pomóc w zduszeniu powstania na Węgrzech. Oficerowie rosyjscy, których w mieście miało przebywać półtora tysiąca, chodzili pilnie do teatru tak, że prawie cała widownia była zapelniona mundurami rosyjskimi. Z powodu aroganckiego i nie raz brutalnego zachowania się tej publiczności ustała prawie zupełnie frekwencja rodowitych Krakowian. To też po wymarszu Rosjan, teatr opustoszał. Dziury

w budżecie łątano rozmaicie, w zimie redutami, kiedy indziej nawet występami małą tresowanych. Ale też poziom samych przedstawień znacznie się obniżył. Mniej niż mierni aktorowie — lepsi pojechali do Lwowa za dyrektorem Pfeiferem — mniej niż skromna wystawa i wreszcie braki w samym budynku teatralnym, brudnym, źle ogrzewanym i oświetlanym, w dodatku konkurencja subwencjonowanego teatru niemieckiego, przez urzędników przymusowo odwiedzanego, jednym słowem cały splot warunków ujemnych podkopywał byt sceny polskiej. Po powrocie Pfeifera do Krakowa położenie teatru polskiego znacznie się poprawiło. Na scenie święcili triumfy Królikowski i Aszpergerowa. Od roku 1860, równoległe z narastającym wrzeniem w Królestwie, mnożą się wypadki politycznych demonstracji w teatrze. Publiczność to żąda odegrania mazura i opuszcza teatr, gdy orkiestra nie zastosowuje się do życzenia, to znów odśpiewuje pieśni narodowe i domaga się od publiczności i obecnych oficerów austriackich wstawania. 18 stycznia 1863 r. dyrektor Pfeifer odwołał przedstawienie, rzekomo z powodu choroby jednej z artystek, w rzeczywistości na skutek wiadomości o zarządzonej w Królestwie brance.

Muzykę pielęgnują domy nawet mniej zamożne. Wielki wpływ wywiera wielbiciel włoszczyzny Mirecki, „przez długie lata arbiter w sprawach muzyki“. Znani w świecie Krakowianie bracia Kątcy zjeżdżali do Krakowa na koncerty i zbierali pieniądze i aplauzy. Władysław Żeleński stawiał wówczas pierwsze kroki jako wykonawca i kompozytor.

Takim był Kraków z przed stu lat. Kto pragnie go poznać dokładnie, zechce przeczytać książkę p. Estreicherówny. Będzie mógł stwierdzić, że lektura tej książki nie tylko informuje o sprawach wielkich, ale przy odtwarzaniu atmosfery ówczesnej, posługując się w dużej części anegdota, w mozaice rzeczy drobnych daje świetny obraz społeczeństwa dziadków. To połączenie w przesłankach koturnu dziejów z powszechnością życia daje z. m. najpewniejszą rękojmię należytego wnioskowania o właściwym obliczu danej epoki.

*

JAKLITSCH ANDRZEJ

PRZYSZŁOŚĆ WYŚNIONA.

(Z TEKI OPTYMISTY).

Największą sztuką życia jest umiejętność żądania czegoś od siebie. Największą sztuką jest umieć powiedzieć sobie „Mam być taki a taki, mam zrobić to“. Gdyby każdy z nas umiał kazać sobie i bez żadnego „ale“ umiał ten nakaz wewnętrzny wykonać, to osiągnąłby jedno z największych szczęść na świecie — zadowolenie z samego siebie. Niejeden ma w sobie ukryte wielkie siły moralne, o których czasem nie wie, albo nie chce zdobyć ich, aby rzucić je sobie i światu. Trzeba tylko chcieć zbudzić się z tego odrętwienia. Bezprzykładny rozstrój i hańba naszego świata jest hańbą każdej jednostki.

Dążeniem naszym, młodych, jest pokonanie hasa, mamidel i etykiet otaczających nas od kołyski. Poznajmy samych siebie, zobaczmy własną potęgę serca i umysłu.

Zobaczmy gdzie jesteśmy i czym jesteśmy. Biermy za przykład wielkość i siłę charakteru ludzi nas otaczających, albo sięgnijmy do wielkich przykładów historii i jak ludzie pierwotni z dwu kawałków drzewa, które los pozostawi nam w rękę, krzeszmy ogień przyszłości. Wykszeszmy ogień naszego charakteru, wykrzeszmy płomień, który przygasi wszelkie zło nas otaczające.

Kształcąc swe serce, wolę, energię i konsekwencję myśli, uzbrojeni w potężne siły przystąpimy do czynu. A czyn twórczy powstaje z ducha i pracy. Oparty na płomiennym entuzjazmie ducha i nieustrudzonym wysiłku, czyn ten musi być wspaniały. Zbudujemy nowy świat bez szumnych frazesów, świat, w którym każdy widzieć będzie w człowieku — człowieka, świat oparty na wzajemnym zaufaniu i miłości a nie upodleniu, podstępnie i gwałcie. A gdy każdy widzieć będzie, co może od siebie żądać i od innych, nie podejmie się nigdy dzieła, przechodzącego jego siły moralne i fizyczne.

Każdy dla siebie, ale i dla innych. W tym połączeniu egoizmu z altruizmem tkwi sens i istota życia. A gdy każdy pozna i opanuje siebie i postępować będzie jak mu jego Ja według świętych i nienaruszalnych praw ludzkości dyktuje, to wtedy musi zapanować na ziemi to — co marzyciele i filozofowie nazywają — szczęściem.

SIEROSŁAWSKI TADEUSZ

JAK TO BYŁO MIŁO PONAD KRAKOWEM W CZASIE BURZY?

Zapewne niejednen z młodych (Szanownych) Czytelników doznał już w swym życiu wrażeń z lotu samolotem czy też szybowcem, ale jak sądzę, b. wielu jest takich, którzy nie mieli do tej pory sposobności ku temu, a ciekawi są wielce, jakie to przeżycia stają się udziałem takiego człowieka, który po raz pierwszy leci samolotem.

Ponieważ do niedawna sam należałem do grona tych ostatnich, z którego usunął mnie odbyty pierwszy lot samolotem, pragnę zaspokoić Ich w tym kierunku ciekawość i opowiem możliwie jak najwierniej to, co się odczuwa i jakie spostrzeżenia nasuwają się w czasie pierwszego lotu samolotem.

Opisując moje wrażenia z lotu okrężnego samolotem pasażerskim ponad Krakowem, postaram się przedstawić moje uczucia, jakich doznałem przy starcie samolotu, we właściwym locie i przy lądowaniu, podać swoje spostrzeżenia oraz naszkicować krajobraz, który roztaczał się podę mną. Przystępując do tego muszę zaznaczyć, że bardzo jestem rad z tego, iż lot ten, który był pierwszym w moim życiu, odbyłem samolotem polskim, a mianowicie: fabrykacji Podlaskiej Wytwórni Samolotów.

*

*

*

Autobus przywiózł nas na lotnisko cywilne około godz. 17³⁰, a więc mieliśmy pół godziny czasu wolnego do odlotu, który miał nastąpić o go-

dzinie 18-ej. Korzystając z tego obejrzelśmy 4 samoloty pasażerskie znajdujące się wówczas w hangarze.

Chmury zaczęły coraz gęściej zakrywać niebo i deszcz już siąpił, gdy wprowadzano z hangaru samolot, którym mieliśmy lecieć.

Jest to górnopłatowiec ezterooosobowy. Niebawem puszczają mechanicy w ruch jego śmigę i próbują jej sprawność, potem wchodzimy do tego „smoka powietrznego“, który za parę chwil ma nas unieść hen — w przestworza i zajmujemy swoje miejsca. Przypasujemy się wszyscy (było nas czterech amatorów wycieczki powietrznej) pasami. Pilot wsiada do samolotu, a mechanicy skierowują maszynę w stronę lotniska wojskowego w Rakowicach.

Ruszamy...

Samolot nabiera coraz większej szybkości tak, że wszystko, co w danej chwili blisko niego się znajduje, miga się przed mymi oczyma. Z trwożliwym sercem oczekuję na mający nastąpić lada chwila wzlot.

Patrząc na ziemię dostrzegam nagle, że odległość między nią, a samolotem, poczyna się zwiększać.

A więc wystartowaliśmy...

Samego momentu oderwania się samolotu od ziemi prawie, że nie czułem.

Teraz jesteśmy lekko nachyleni ku tyłowi, a samolot, jak jakaś zdrażdzienka siła, która nas uniosła w powietrze, ciągnie nas coraz — to wyżej i wyżej.

O, jakże inaczej czuje się człowiek w przestworzu, aniżeli na ziemi! Oko wypoczywa, ogarniając bezmiar przestworza.

W niewielkiej odległości od nas, niżej, po prawej i lewej stronie przesuwają się szare, kłębiaste chmury, gnane wichrem. Pilot ze swą maszyną wymija je, aby umożliwić nam widok na ziemię.

Warkot śmigły, od którego ciągle drżą boki kabiny, budzi we mnie przyjemne uczucie.

Zauważam, że koła samolotu, wskutek nabytego przy starcie na ziemi rozpędu, wciąż się jeszcze obracają, podtrzymywane w swym ruchu obrotowym prądem powietrza, jaki płynie od śmigły do tyłu i skutkiem ustawicznego posuwania się samolotu naprzód.

Lecimy na wysokości 500—700 metrów i zdążamy od strony lotniska cywilnego w Czyżynach w kierunku Krakowa.

Pod nami roztacza się śliczny widok wsi Rakowic.

Pola, łąki i domy wydają się bardzo małe. Różnobarwne plamki na łąkach — to pasące się tam krowy.

Mam wrażenie, iż samolot, którym lecimy, z małą szybkością posuwa się naprzód. Ale to jest tylko złudzenie.

W pewnym momencie błyskawica przesywa swym oślepiającym blaskiem chmury przed nami. Niezapomniany to widok.

Znajdujemy się nad głównym krakowskim dworcem kolejowym. Przyglądnijmy się teraz miastu z lotu ptaka.

Jednym rzutem oka obejmuję cały obszar Krakowa wraz z jego przedmieściami. Tuż pod nami widzę wagony kolejowe, które niby małe papierowe prostokąciki leżą na szynach. Wielkie gmachy są jakby domeczkami do zabawy dla dzieci. Doskonale rzuca mi się w oczy kościół Mariacki,

Wieża Ratuszowa, Wawel, Akademia Górnicza, Błonia, park im. dra Jordana o kształcie trójkąta i t. d., i t. d.

Odległość np. między Rynkiem Głównym a parkiem Jordana wydaje się minimalną. Całe to zbiorowisko budynków przeryniają wąziutkie uliczki, na których ludzie są ruchomymi punkcikami.

Wisła podobna jest do małego potoka, wijącego się po lewej naszej stronie niebieską wstęgą i ginącego w oddali na widnokręgu. — Wszystko to, na co patrzę, czyni na mnie wrażenie przepięknego snu.

Skręcamy na lewo. Mam nieprzyjemne uczucie w tej chwili, ponieważ obawiam się, że całkiem przechylimy się na bok i czuję przy tym lekki zawrót głowy.

Lecimy z powrotem w kierunku Rakowic.

Dwa razy jeszcze przelatujemy tym samym szlakiem, po czym następuje lądowanie, które stanowi dla mnie najmniej przyjemną a zarazem najwięcej emocjonalną część całego lotu.

Pilot zamyka motor i samolot zaczyna zniżać się ku ziemi lotem ślizgowym. Przy doprowadzaniu go do równowagi chybotą się cała maszyna mocno na boki, trącana z obu stron podmuchami silnego wiatru.

Siedzę w swym fotelu, wystraszony z emocji, niczym mysz na pudle albo kot we worku.

Następuje moment, kiedy nasz samolot wpada z warstwy powietrza gęstszej do rzadszej, czyli w t. zw. „dziurę powietrzną“, dając kilkumetrowego, zupełnie pionowego susa w dół.

Mnie się przy tym zdaje, że mój żołądek wskutek tego wywindował się ze swego, właściwego mu położenia, aż do gardła.

To kołysanie się samolotu na boki i owe „rozkoszne“, prostopadłe skoki powtarzają się jeszcze kilka razy.

Ziemia coraz bliżej nas...

Za chwileczkę jeszcze jedno niewielkie opadnięcie i już koła naszego aparatu dotykają ziemi i słychać prucie płozy. Wylądowaliśmy na przeciwnym końcu lotniska i podjeżdżamy do hangaru po ziemi.

Mechanicy biegną naprzeciw nas i, otwierając nam drzwiczki kabiny, z uśmiechem ciekawości nas witają. Żartują też przy tym...

Na polu deszcz leje jak z cebra...

*

*

*

Wpatrzony w deszczowe krople miałem ciągle przed oczyma obraz tych pól, łąk i domów, oglądanych przed chwilą ze samolotu, a w uszach warkot śmigie. Szedłem po ziemi, jednak myślą błąkałem się w przestworzach i ten krajobraz, który podziwiałem ze samolotu, wciąż widziałem jeszcze i napewno nieraz widzieć będę wzrokiem duszy mojej we wspomnieniach.

Zazdroszczę teraz ptakom, które stworzone do latania, zawsze mają możność spoglądania na cuda natury z wysokości.

Przeżycia, jakich doznałem w czasie tego lotu, nie zatra się nigdy w mojej pamięci.

Na koniec zwracam się do Was, młodzi (Szanowni) Czytelnicy, z apelem, abyście się wznosili ponad szarzyznę życia codziennego nie tylko duchem, ale i ciałem, przez jakąś wycieczkę powietrzną samolotem, a niezawodnie przekonacie się, że dostarczy Wam ona czaru i radości życia.

JAKLITSCH ANDRZEJ

Z KLUBU DYSKUSYJNEGO.

Siedem zebrań — to plan pracy klubu dyskusyjnego w okresie je-siennym. W niezbyt ciasnym gronie młodych toczyły się zajadłe czasami walki, między zwolennikami tych, czy innych poglądów.

Mając możność obserwacji czy to ze stanowiska referenta, czy prowadzącego dyskusję, czy dyskutującego, mogę z radością zauważyć, że poziom dyskusji podnosił się z zebrania na zebranie. Może wpłynęło na to decydująco to, że na dyskusje przychodzili mniejwięcej ci sami ludzie, może tematy były coraz ciekawsze, ale w każdym razie zjawisko podnoszenie się poziomu jest bezsporne. Ciekawym i miłym momentem na zebraniach była widoczna u obecnych chęć wzajemnego zrozumienia się i dojścia do rozwiązania kompromisowego kwestji — ku zadowoleniu przynajmniej większości dyskutujących. Dopomógł temu nastrój panujący na zebraniach w miarę poważny, ale pogodny i swobodny.

Chciałbym następnie zwrócić uwagę na same tematy. Były przeważnie o charakterze politycznym, gospodarczym i społecznym. Zabrakło jednych, a mianowicie o zagadnieniach kulturalnych, artystycznych i filozoficznych, które powinny znaleźć się na warsztacie dyskusji. Może to mówi o ciągłej materializacji młodzieży, która coraz to mniej patrzy na piękno, a kiedy patrzy to go nie rozumie. Na obronę mogę jedynie przytoczyć, że do klubu należą przedewszystkiem prawnicy i ekonomiści.

Wypada mi w tym miejscu zwrócić się z apelem do ludzi sztuki, których wiem, że nie brakuje na terenie YMCA, aby i oni ofiarowali nam swoją współpracę i podzielili się z nami swymi poglądami artystycznymi, i wierzę, że my z tego dużo skorzystamy i też w tej dziedzinie będziemy mieli coś do powiedzenia.

WĘGLORZ EMIL.

YMCA W FINLANDII.

Dzięki poparciu i staraniom Zarządu Ogniska, p. Dyr. Lewandowskiego i Klubu Ymciarzy w Krakowie, G. B. w Warszawie i p. Mgr. Wójcickiego w Gdyni, miałem możność odbycia podróży do krajów północnych — Estonii i Finlandii, gdzie dość dokładnie poznałem pracujące tam Ymki.

YMCA, której nazwa fińska brzmi Nuorten Miesten Kristillinen Yhdistys (dosłowny przekład nazwy angielskiej YMCA), jest jednym z typów organizacji, które należą do tamtejszej Rady Krajowej — Związku, zwanego Suomen Nuorten Kristillinen Liitto, a dopiero ta naczelna organizacja jest członkiem międzynarodowego związku YMCA w Genewie. Wszystkie związki młodzieżowe Finlandii mają podobny charakter i podobne programy pracy i właściwie różnią się między sobą tylko nazwą, albo językiem urzędowym fińskim czy szwedzkim. YMCA założoną została w Finlandii w roku 1889, mając pierwsze ognisko w Helsinku, stolicy państwa. Ogniska te szybko rosną, powiększa się ich liczba, tak że obecnie Finlandia liczy 289 Ognisk, roz-sianych po całym obszarze tego kraju, równego powierzchnią Polsce a ma-

jącego 3·7 milionów mieszkańców. W samych Helsinkach jest 6 placówek w budynkach własnych i sześć w wynajmowanych, skupiających 2.716 członków. Nadto należą tutaj wielkie rzesze żołnierzy, którzy korzystają z prowadzonych dla nich świetlic, gazeciarze, bezrobotni itd.

Szczegółów dotyczących organizacji, udziela mi pastor Verner Aurola, który spełnia w YMKY rolę podobną do roli Gen. Dyrektora Polskiej YMCA. Członków i uczestników liczy związek fiński: 339 działów chłopców (grup) — uczestników 14,172.40 drużyn skautowych czł. 2.942 — 155 grup dziewcząt czł. 4,258. — grup mieszanych 271. — kobiet 7.443 i starszych 3.904, razem: 32.719 członków, co przy małej liczbie ludności, daje bardzo wysoki procent — 0·9% (a więc w Polsce musiałoby nas być 300.000 by móc się pochwalić tą samą liczbą procentową!). Nadto NMKY zrzesza liczne grupy sportowe (25 klubów), obozowców (79), chóry i koła śpiewacze (47), orkiestry (3) i kursa językowe (41). W budynku głównym stolicy, prowadzi się kursa szoferskie, pisanie na maszynie, świetlicę dla gazeciarzy, skupiającą 125 chłopców i „pucybutów“ z 122 chłopcami, którzy w ciągu jednego tylko roku zarobili 32 tysiące złotych. Towarzystwo transportowe z 18 ciężarowymi samochodami i Hotel dają organizacji duże dochody. Hotel dał w ciągu roku 11.597 noclegów, a w domu noclegowym dla bezdomnych i bezrobotnych, udzielono 112.007 noclegów rocznie. Opłaty uczestników, są bardzo niskie i wynoszą rocznie: chłopcy ok. 1·50 zł, skauci 1·50 zł, młodzi urzędnicy i studenci 2 zł, starsi (lat 18 — 20) 4 zł, kobiety 3 zł, a starsi ponad 30 lat ok. 19 zł rocznie. Duże subwencje czerpie organizacja ze społeczeństwa, które widząc w YMCA ruch zdrowy, popiera każde jego poczynania.

Gmach główny YMCY sześciopiętrowy, ma bardzo wiele lokali, kawiarnię i restaurację (bezalkoholową — co się często spotyka w Finlandii), biura, czytelnice, sale gier, mieszkania, tusze i salę gimnastyczną, która jednak jest bardzo mało używaną.

W każdej nawet najmniejszej „pipidówce“ jest tam NMKY znana, a na członka tej organizacji spogląda się tam jak na wyróżnionego.

JÓZEF STAWOWSKI

ŻYCIORYS CHŁOPCA OPUSZCZONEGO.

Dwunastoletni Władek zziębnięty i głodny oczekuje powrotu matki. Nie jadł nic od rana: w nieopalonej izbie marzną ręce, sztywnieją nogi. Matka wyszła rano, każąc mu pilnować domu. Obiecała przynieść wieczorem coś do jedzenia.

— Nigdzie nie wychodź — pamiętaj! Wieczorem nie świeć lampy: siedź pociemku. Szkoda nafty!

Władek siedzi pociemku i czuwa. Ogarnia go senność, musi jednak uważać, bo matka nie lubi czekać pod drzwiami. Skoro zapuka, drzwi muszą być natychmiast otwarte. Najmniejsze opóźnienie karze dotkliwie: matka umie bić.

Podparł brodę brudnymi piąstkami i drzemie. Chwilami wiatr uderzający o szyby budzi go. Poprawia się wtedy na krześle, otula szczelnie starym płaszczykiem i znowu zapada w półsen. Głód i zimno przemagają strach

przed biciem. Władek kiwnął się raz i drugi, opiera głowę na stole i zasypia. Jakże przyjemnie jest usnąć i zapomnieć o wszystkim! O tym, że zimno, że jest się głodnym...

* * *

Gwałtowne pukanie postawiło Władka na równe nogi. Skoczył do drzwi, jak tylko mógł najszybciej.

— Dlaczego zaraz nie otwierasz, co? Człowiek haruje, żebyś miał co zjeść a ty śpisz, co? Świeć lampę!

Władek nie mruknął ani słowa. Było mu obojętne, czy dostanie lanie za to, że zasnął i czy będzie jeszcze dzisiaj coś jadł. Spać, spać jaknajdłużej — to wszystko, czego w tej chwili pragnął.

Szukał poomacku lampy. Matka zaświeciła zapałkę. Ujrzał jej błyszczące, złe oczy — poznał, że jest pijana. Nie drgnął nawet. Władek, mały człowieczek tyle już widział, tyle przeżył dziwnych, nieznanym innym chłopcom w jego wieku — historij...

— Wynoś się do sieni. Przyjdiesz, gdy cię zawołam — krzyknęła matka.

Władek wyszedł. Dalej, niż do sieni: na podwórze. Mżący, drobny deszcz spędził resztki snu z zaspanych powiek. Zapomniał, że jest głodny, że zimno, że matka znowu wróciła pijana.

Drobnym kroczeniem pomaszzerował przed siebie. Nie obejrzał się ani razu. Wiedział dobrze, że nikt nie będzie go gonił. Matka? O, ona ma inne kłopoty. Władek raczej jej zawadzał.

* * *

Sprzedawał gazety. Były dni, kiedy zarobił tyle, że mógł sobie „fundnąć“ solidny obiad i jeszcze zostało coś w kieszeni. Ale zdarzało się również, że mógł sobie kupić zaledwie parę bułek. To się nazywa „mortus“. Zaciskał wtedy zęby i szedł spać.

Było lato. Spał sobie na polach Woli Justowskiej w kopach siana, czasem w zapomnianych szopach. Było dobrze. Nie musiał czekać na powrót matki, wychodzić do sieni...

We wrześniu było już gorzej. Coraz zimniej jest w szopach, ogołocone pola nie dają żadnego schronienia.

I wtedy po raz pierwszy w jego życiu uśmiechnął się doń los.

Poznał Felka, starszego od siebie o dwa lata, dużego dryblasa, byłego gazeciarza. Obecnie nie zajmował się „gazeciarstwem“: Felek uczył się. Tego roku zdał egzamin z pięciu klas szkoły powszechnej, w lecie był na obozie „Watra“ w Czańcu. We wrześniu powrócił do Krakowa uczyć się dalej. Felkiem zajęło się Schronisko Chłopców krakowskiej YMCA. Felek był dumny, że umie czytać i pisać, pysznił się mianem Imciarza.

To były nieznanne krainy dla Władka. On dużo już przeżył, lecz nie zdążył jeszcze nauczyć się czytać i pisać. Ludzie, z którymi dotąd stykał się — uczyli go wielu rzeczy. Nauczyli palić papierosy, uświadomili brutalnie — ale nauka, książki?...

Władek zapoznał się z Felkiem na ulicy Siennej. Stał koło jakiejś knajpy z plikiem gazet pod pachą, trzęsąc się z zimna. Felek, który szedł

właśnie do Schroniska na ulicę Dunajewskiego 5, obejrzał go najpierw starannie i — widocznie oględziny wypadły pomyślnie, gdyż zaszczycił go pytaniem:

— Skądżeś się ty wziął, pokrako jedna? spytał Felek uprzejmie.

— A cóż to ciebie, łamago — obchodzi?! — odparł jeszcze grzeczniej Władek.

— Morowyś bajtłoku! Nie dzwoń tak zębami, bo ludzie myślą, że tramwaj jedzie — ciągnął dalej Felek.

— Całuj mnie w nos — rzekł Władek i odwrócił się.

— Byłeś chudzielcu w Imce? — spytał znowu Felek.

Spodobał mu się Władek. Taki mały „szkut“ a już nie daje się zjeść w kaszy. Felek już coś postanowił. On dobrze pamięta, że kiedyś z nim było również bardzo krucho.

— Cóż to za nowa knajpa? Można tam sprzedać dużo gazet?

— Jesteś jednak „murga“! Sprzedajesz w Krakowie gazety i nie wiesz nic o Imce? Chodź matole zemną a nie pożałujesz!

Władek poszedł z Felkiem do Schroniska YMCA. Ciekawiło go, co mu ten dryblas może pokazać takiego, że nie „pożałuje“.

* * *

— Panie kierowniku, znalazłem tego chudzielca na Siennej. Tak szczerkał zębami, że myślałem, że tramwaj zmylił drogę i jedzie tamtędy — rzekł Felek, wskazując na Władka.

Znajdowali się w jednej z dużych sal Schroniska. Kierownik, któremu w takim „stylu“ Felek zameldował nowego chłopca, uśmiechnął się i popatrzył życzliwie na Władka.

— Jak nazywasz się?

— Władysław Sikora.

— Ile masz lat?

— Dwanaście.

— Masz rodziców?

— Nie — skłamał Władek.

— Gdzie mieszkasz?

— Na Woli Justowskiej.

— U kogo?

— U nikogo. Spię w stodole, nie wiem czyja...

— Siadaj, Władku!

— Felek! Przynieśno mu kawę i chleba!

— Głodnyś pewnie, co?

— Trochę, proszę pana.

Władek jadł, zerkając ukradkiem na pana kierownika, który pisał coś zawzięcie. Podobał się Władkowi. Był inny, niż goście matki. Nie często wał go papierosem lecz pajdą chleba.

— Zostaniesz tutaj — rzekł po chwili kierownik. Będziesz uczył się — później zobaczymy. Felek, pokaż mu jego łóżko!

Władek był oszołomiony. Chleb, gorąca kawa i łóżko. Za dużo na jeden raz. Rzucił się do rąk kierownika, chcąc je całować.

Kierownik uwolnił się jakoś z opresji. Podał Władkowi rękę.

— Idź już spać — rzekł na pożegnanie.

Ten poszedł za Felkiem do drugiej sali; sypialnia dla dwudziestu chłopców. Nie mógł iść zaraz do łóżka. Wpierw musiał umyć się porządnie pod okiem Felka. Znalazła się biała, czysta koszula.

* * *

Zgasło światło w sypialni. Spali wszyscy chłopcy, prócz Władka i Felka. Ten podszedł cicho do łóżka Władka i błysnął nagle latarką. Władek wymyły, w czystej koszuli — płakał.

Łzy szczęścia.

— Czego się mażesz, ślimoku?

— Wcale nie płaczę: śmieję się — odparł Władek.

I uśmiechnął się przez łzy. Felek podał mu rękę na „dobranoc“.

— Jutro pobudka o wpół do siódmej — rzekł na odchodnym Felek.

— Idziemy do pływalni, na Krowoderską.

— Umiesz pływać?

— Nie.

— To się nauczysz — zakończył Felek rozmowę.

Po chwili chrapali już obaj zgodnie.

* * *

To jest życiorys jednego z dwudziestu małych imciarzy ze Schroniska przy ulicy Dunajewskiego w Krakowie. Zanim tam się znaleźli, wiele przeżyli, wiele dni nie jedli. Zebrani z rozdeszczonej ulicy, wyrwani z progów szynków znaleźli w YMCA opiekę, ciepłą strawę i naukę.

YMCA stara się objąć swoim wpływem większą gromadkę. To też ci, którzy mogą mieszkać z rodzicami lecz są niezamożni, przychodzą do Schroniska, gdzie uczą się, bawią — zdala od szynków i spelunek. Tych jest około dwustu.

Ludzie o sercach umięjących bić żywo dla drugich oceniają te wysiłki i wmiarę swoich środków pomagają YMCA.

Tę pracę i ofiarność prawdziwych ludzi oceni Władek Sikora, gdy dorósł.

Przyjdzie z pomocą innym, którzy po nim przyjdą do Schroniska.

KRONIKA POLITYCZNA.

Nikt z współczesnych nie może chyba żalić się na bezrobocie historii świata. Dzienniki nie muszą łamać sobie głowy swoich redaktorów o przedmioty zaciekawiające czytelnika. Przede wszystkim śledzimy z największą uwagą krwawe zapasy toczące się w Europie na półwyspie Iberyjskim, który od czasu wyprawy Wielkiego Napoleona spoczywał na laurach swojej cokolwiek ponurej przeszłości. Nie tak dawno mogliśmy czytać o walkach w miejscowościach związanych na zawsze z chwałą oręża polskiego pod sztandarami Napoleona. I może niejednemu przypomniały się pełne grozy opisy wojny partyzanckiej prowadzonej przez ludność słusznie broniącą swoich praw do wolnej ojczyzny. Jakże smutnie wyglądają dzisiejsze walki bratobójcze w porównaniu z czynami, które zwycięski żołnierz polski, sam wygnany z własnego kraju przez gwałcicieli świętych praw narodu, u wroga zawsze musiał cenić wysoko.

Podobną walkę prowadzi dziś spokojny naród chiński z dzielną armią państwa „wschodzącego słońca“. Stara kultura chińska, przyswoiwszy sobie zaledwie początki europejskiej techniki wojennej, przeciwstawia swemu bitnemu najezdcy budzący się, ale gorący patriotyzm, wprawionym w rzemiosło wojenne, słynnym z dyscypliny i w najmoduiejszy sprzęt wyposażonym wojskom japońskim pod doskonałymi wodzami, młodą i niejednorodną armię narodową. Kierownikiem polityki japońskiej zdawało się, że złamią opór tej armii odrazu. Z niesłychaną brawurą wykonane ataki japońskie przyprawiły wprawdzie przeciwnika o ciężkie straty, ale nie doprowadziły do celu. Jak przed Napoleonem Rosja cofała się w głąb kraju, tak też wódz chiński Czang Kai Szek po pierwszych porażkach przygotowuje swój naród do dalszego oporu w głębi olbrzymiego terytorium, obejmującego przeszło 11 milionów kilometrów kwadratowych. W starej i znękaną Europie mocarstwa wielkie, mając oczy utkwione w rozgrywce wschodnioazjatyckiej, gdzie narażone są na wielkie straty materialne, głowią się nad zagadnieniem utrzymania pokoju świata skłóconego, zwodzonego przez błędne ogniki prawd nieprawdziwych i tracącego z oczu wieczne światło nauki chrześcijańskiej. Rada Ligi Narodów odbywa właśnie swoje setne posiedzenie, w nastroju bardzo nie radosnym. Szczytna idea głoszona przez marzyciela Wilsona nie zdała, jak do tej chwili, swego egzaminu życiowego. Nie są z niej zadowolone mocarstwa wielkie, które liczyły na zdobycie przez nią hegemonji świata, nie są również zadowolone państwa mniejsze, dla których Liga Narodów miała zostać gwarantką swobodnego rozwoju i osłony przeciw właśnie owym zakusom mocarstw wielkich. Możliwe jest bez słuszności twierdzić, że nie tyle niedopisał zamysł utworzenia Ligi, ile na jaw wyszła nieszczerłość jej „wielkich“ adherentów“.

O. L.

MARIA KRZETUSKA.

LEŚMIAN — POETA PRAWDZIWY.

Śmierć Leśmiana była dla mnie jedną z najboleśniejszych niespodzianek w życiu. Nie dlatego, że przyszła nieoczekiwanie i nie dlatego również, że dosięgła go w wieku, który nie jest jeszcze koniecznym kresem, ale dlatego że ofiarą padł człowiek tak ogromnie inny i tak przenikający we wszystkie dziedziny świata i zaświatów, iż wydawał mi się być czymś bardzo bliskim nieskończoności. Prostu nie podlegał dla mnie żadnym wymiarom. Jego inność oparta była na dwu biegunach. Na niewiarygodnej wprost prostocie i najbardziej wyrafinowanym skomplikowaniu. Dość przyglądać się jego życiu. Możliwe jest właściwie zaryzykować twierdzenie, że prowadził żywot podwójny. Był bowiem całkiem prozaicznym rejentem i długie lata w tym charakterze mieszkał w Zamościu. A poetą był pozatym — bo musiał. Nie wiem czy imperatyw ten zaciążył na jego pracy zawodowej, czy też walka o byt była mu nieznośnym ciężarem. Wydaje mi się raczej, że uważał tę dolę swoją za należącą do niego i raz tylko jeden zbuntował się przeciwko prozaicznej codzienności. Było to kilka lat temu, gdy postanowił osiedlić się zagranicą. Piękny sen trwał jednakże bardzo krótko. Rychło trzeba było wrócić do kieratu, w którym już tkwił aż do czasu powołania go do Akademii Literatury. Nie od rzeczy będzie

dodać, że gdy to się stało, wiele osób nienajgorzej zorientowanych w literaturze współczesnej pytało ze zdumieniem (pocichu): „kto zacz ten Leśmian?“. Tak się bowiem wydarzyło, że nie mówiąc już o inności poety, która zniechęcała ludzi wrażliwych jedynie na klasyczny epigonizm, to wydania jego poezji były wyczerpane od lat i nie można było ich nabyć nawet w antykwariacie. Leśmian pozostawał zawsze w mglistych oddalach, jakiś bliżej nieznanym półbożek lub swój własny twór wyobraźni.

Tu muszę poczynić pewne zastrzeżenie. To, co chcę powiedzieć o Leśmianie, nie ma pretensji, ani nie chce mieć, do szkicu literackiego jego twórczości, do życiorysu, do krytyki, lub czegokolwiek w tym rodzaju. Nie chciałabym żegnać Zmarłego banalnym i chronologicznym wymienieniem jego dzieł, lub ważniejszych wydarzeń w jego życiu. Chciałabym stworzyć sylwetkę poety, jakim go znałam w ostatnim dziesiątku jego życia. Nuszę dodać, że należałam, do tych, którzy (choć niewiele) znali jednak jego wiersze. I to też przyznać muszę, że wzburzyły mnie i uroczyły. Leśmiana poznałam (o ile się nie mylę) w r. 1927 w Zakopanym — w domu sławnej śpiewaczki p. Korolewicz-Waydowej, z którą poeta znał się z lat jeszcze bardzo młodych z Kijowa. Pamiętam go jak nikły i cichutki siedział w dużym salonie, wydawał mi się nawet ogromnie nieśmiały i najzupełniej niepodobny do autora, którego można sobie było z utworów wyobrazić. Powoli jednak dochodziło się do przekonania, że nie mogło być inaczej. I to uczucie nie odstępowało mnie już nigdy w stosunku do Leśmiana. Wszystko cokolwiek się wokoło niego działo, każde słowo było jakoby przeznaczone. Leśmian zdawał się krążyć w zaklętym kole. Otaczał go stale jakiś świat baśni, albo mgławki zaświat, albo zmora nicości. Nie przeszkadzało to zupełnie, że był pozatym ogromnie i bardzo nawet zmysłowo przywiązany do spraw potocznie „ziemskimi“ zwanych. Tylko że on potrafił wzbogacać je o niesamowite przeżycia i sublimować do wyżyn boskości. I w tym właśnie leży jego inność i wielkość. Wśród wielu rzeczy tylko jemu właściwych miał Leśmian jeszcze jedną. Mianowicie nie znał „kierunków“ i nie tworzył szkoły. To, że stworzył swój styl, to stało się — poza nim. Za jego sprawą i znów dlatego, że tak być musiało. Teorii na temat sztuki swojej nie miał żadnej. W jednym z listów pisał do mnie: „...oddalbym na usługi Pani całą moją wiedzę i niewiedzę poetycką...“. To nie była poza, tak jak w Leśmianie nigdy nie było pozy. To była najszersza prawda. Gdyby mógł uczyniłby to w istocie. Ponieważ jednak wypowiadał się tak bez reszty w swych wierszach, przeto nie starczyło mu już sił, aby jeszcze objaśniać coś, co było według niego najzupełniej jasne. O ile pamiętam miał zresztą jednego niewinnego konika. Otóż uważał, że najważniejszym elementem poezji jest bunt. Pytany o zdanie co do najmłodszego pokolenia poetów mówił zwykle „za mało buntu“, albo „nie wiem, ale według mnie to nie jest język poetycki“. Trzeba dodać, że Leśmian nie hołdował zupełnie nowym formom, asonansom, jakkolwiek Tuwima miał za wielkiego poetę. Był to jednak wyjątek. Przeważnie odsądzał młode pokolenie od miana poetów, zarzucając im brak serca i fantazji. Tu znów łączyły się u niego dwie krańcowości. Nie uznawał nowatorstwa formy, ale wielkim głosem wołał o rzeczy nowe i nigdy nie było — on sam według swoich słów „obłądny nieistniejących zdarzeń wspominać“. Pamiętam dobrze jak przeczytawszy jeden z wierszy w którym poeta prosił

Boga, by wyrzekł raz jeszcze: „Niech się światłość stanie!“ rzekł poważnie: „Nie trzeba się modlić o to, co już było“. W istocie on sam nigdy tego nie czynił. Zachwytem obdarzał tylko rzeczy w ekstatycznych chwilach zmagła wyjawione, przetwarzał rzeczywistość w sny, baśnie i zaludniał je groteskowymi potworkami. Ten świat napół rzeczywisty, napół wysniony był kołem kredowym, które przerwała dopiero brutalnie śmierć. Rozmarzony rewolucjonista, niezdradliwy i niezaprzeczany nawet idei — zniknął nagle, jakoby się rozproszył w wszechświecie tylekroć przez niego uwielbionym.

BOLESŁAW LEŚMIAN.

PORANEK.

(Z cyklu p. t. „W chmur odbicju“ Napój Cienisty, Warszawa 1936).

*Kto na Święta Zielone, dal kusząc, rwie kwiaty, —
Mówią o nim: „Deszcz zrywu“ — że niby to właśnie
W ślad za kwiatem — wszemrany w pijanych wód baśnie
Deszcz nadbiegnie — wesoły kropliście skrzydlaty!*

*Miedzą w zieleń idziemy. Najskrytszem żdźbłem w dłoni
Wzywaj się w kwiat, oślepty od słońca i rosy!
Deszcz zrywamy! Pod wierzbą przykucnął wiatr bosy!
Ciszom, spadłym z zaświatów, do ucha świerszcz dzwoni!*

*W trawie światel wznak-ległych, czujne próżnowanie...
Deszcz zrywamy! Dość westchnąć, a śpiew się już słyszy!
Spójrz w obłoków różowe w niebie pączkowanie,
Gdy ich ruchom-barw zmiana, niechcąc, towarzyszy...*

*My dwoje-iluż dalom stąd widni i światom!
Któryż z rzędu nam błękit uderza do głowy?
Zrywamy deszcz! Idź wolniej i śnij się tym kwiatom...
Deszcz zrywamy! O, dłuż się, poranku czerwcowy!*

POLSKA YMCA KRAKÓW

KURSY

JĘZYKOWE, RYSUNKOWE, WYMOWY
POD KIEROWNICTWEM WYBITNYCH SIŁ FACHOWYCH.
INFORMACJE I WPISY: SEKRETARIAT POLSKIEJ YMCA
KRAKÓW, ULICA KROWODERSKA 8.

KAROL KRZETUSKI

KULTURA A GOSPODARSTWO.

(Odczyt wygłoszony dnia 22 października 1936 w Krakowskim Ognisku Polskiej YMCA).

Sombart, którego nie możemy posądzać o sympatie dla kapitalizmu, wywodzi powstanie kapitału nie z wyzysku pracy (wyzysk ten należy do okresu późniejszego) ale z zysków na wzrastającej w średnich wiekach wartości ziemi, której posiadanie jest skoncentrowane w rękach panujących, wysokiego kleru i szlachty feudalnej. Z tego pierwszego zbiornika czerpie handel i bankierstwo, powstaje kapitał pieniężny, który później, zetknąwszy się z zdobyczami technicznymi, parą i elektrycznością, doprowadzi materialne składniki kultury do największego rozkwitu. Początki powstawania kapitalizmu schodzą się z potężnym ruchem umysłowym odrodzenia.

Nie jest przypadkiem, że Florencja, miasto, z którego ruch renesansu rozprzestrzenił się naprzód na półwysep apeniński, po tym na cały zachód Europy, stąd na północny wschód, tętniąc silnie w italizującej się Polsce, że miasto Dantego jest równocześnie siedzibą wielkich domów handlowych i bankierskich, najsilniej czynnych w międzynarodowych obrotach towarowych i finansowych. Kto nie zna placu Signorii, pałacu starego, loggii, tych wprost niezliczonych pomników, rzeźby i obrazów, nagromadzonych z bogactw kupców i bankierów i fabrykantów sukna Florencji, w pierwszym rzędzie rodu Medyceuszów, bankierów Kurii Rzymskiej, protoplastów dwóch papieży, matki króla polskiego i francuskiego Henryka Walezjusza i prababki królów włoskich z dynastii sabaudzkiej. Ci to Medycyusze kupują wełnę w Anglii, gdzie zbierają dla Rzymu świętopietrze. Wełnę przerabiają we Flandrii na sukno i sukno flandryjskie przerabiają już nad Arnem. Pożyczają także królowi angielskiemu Henrykowi III na wojnę z Manfredem Hohenstaufen, panującemu w Neapolu, na to, aby syn Henryka z woli papieża Aleksandra IV wstąpił na tron neapolitański. Dawidsohn, historyk gospodarczy Florencji, opisuje, jak to król Anglii broni się przeciw dobroci papieża, który jego syna wypuszcza na Manfreda i każe ojcu i synowi zdobywać tron. Broni się, albowowiem cała impreza nie tylko jest ryzykowną, ale w dodatku bankier Medici tytułem procentu bierze tylko 60%. Ale papież nie ustępuje i ociągającemu się Henrykowi i jego synowi grozi ekskomuniką. Dla nas ciekawszą od anegdotycznej części jest następujące zdanie Dawidsohna: „zdobyte bogactwo Florencji nie tylko stanowi przesłankę powstania monumentalnych kościołów i pałaców, zleceń na podstawie których mistrze barwy i dłuta tworzyli swoje dzieła, ale ponadto okazuje się, że historia handlu, śmiała i awanturnicze ważenie się kupców, ich szerokie kombinacje pozostają w związku wewnętrznym z twórczą fantazją wyższego rządu, która kierowała mózgiem i sercem wielkich artystów“. A teraz przenieśmy się z słonecznej Florencji do szarych nizin Polski. Szeroką falą zalał ją humanizm, zakwitło odrodzenie, ale zabrakło pożywki kapitału. Niedaleko za Wisłą stanęło osadnictwo miejskie. Na zachód od magistrali wodnej i nad jej ujściem, powstają ośrodki handlowe i przemysłowe, ale polityka gospodarcza słabnącej władzy królewskiej, kierowana przez zasadę złotej wolności szlacheckiej, nakłada rozwojowi hamulce stanowego egoizmu i krótkowidztwa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

:G I S E L T E R:

PERŁA MINERALNYCH WÓD STOŁOWYCH

:C A B E S O:

NATURALNY NOWY NAPÓJ ORZEŻWIAJĄCY

RZAÇA-CHMURSKI

SP. Z OGR. ODP.

Zakład syntetycznych wód mineralnych i napoju orzeźwiających.

UL. ŚW. GERTUDY 4 **KRAKÓW** TELEFON NR 102-27

DZIAŁ CHŁOPCÓW POLSKIEJ YMCA W KRAKOWIE
ogłasza konkurs literacki na nowelę.

WARUNKI KONKURSU:

- treść ma być zaczerpnięta z życia młodzieży, o ile możliwości z terenu YMCA,
- objętość do 1000 wyrazów,
- udział w konkursie wziąć mogą tylko uczniowie szkół średnich,
- termin zgłoszeń upływa z dniem 31 marca br.,
- ogłoszenie wyniku konkursu 14/IV 1938, godz. 19 w lokalu Krowoderska 8,
- Prace konkursowe należy składać w sekretariacie Polskiej YMCA, Kraków, Krowoderska 8 w kopertach zamkniętych zaopatrzonych w godło. W drugiej wewnętrznej, również zamkniętej kopercie, wymienić imię, nazwisko i adres autora.

Prace nagrodzone stają się własnością Ogniska Polskiej YMCA w Krakowie.

Z DZIAŁU CHŁOPCÓW POLSKIEJ YMCA KRAKÓW, KROWODERSKA 8.

Z dniem 3 marca br. rozpoczynamy wielką kampanię werbunkową. O ile dotychczas nie jesteś naszym uczestnikiem, przyjdź i zapoznaj się z naszym programem.

Informacyj udziela i zapisy przyjmuje sekretariat Działu Chłopców codziennie w godzinach od 15-tej do 20-tej

Wykonano w drukarni Miejskiego Muzeum Przemysłowego w Krakowie, ul. Smoleńsk 9.